

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

7

Patrzcie, że w dziewiątym roku, naszemu podpułkownikowi mówiłem prawie: Józiu! — A teraz czuj duch, bratku mosanie! Tedy ogniomistrzu, ty weźmiesz sobie z dzisiejszej batalii tę parę butów. Tegie, palone! Był ci taki jeden akurat, któremu buź były niepotrzebne. Czy z twojej nogi? Nie turjuj się, znam i twoje guzioły. Akurat masz na nie miejsce. Tu jest kapciuch tytuniu, przedniego, złocistego. Zameldujesz go panu kapitanowi. Te lej-biki, zbrukane, lecz byle je wyprać, zdadzą się lon-towemu, jakże mu — Kucharczyk!...

W miarę rozkładania zawartości toboła, zaciekawienie wśród żołnierzy wzmagalo się. Ten i ów przysuwał się nieznacznie ku Dziurbackiemu. Ten i ów bąknął coś nieznacznie.

Profos tymczasem coraz śmielej perorował, dla każdego z żołnierzy znajdując jakiś przedmiot. Jednemu pas nowy, drugiemu podpinke do czapy, na miejsce rozerwanej, temu lederwerki, innemu uździen-nice, czwartemu koszulę, piątemu choćby furazsznu-rów nowiutkich parę. A wszystko tak akuratnie dobrane, że jakby z magazynu baterii, z komisa-ryatu wprost. Stało się to zaś tak prędko, że pod-porucznik, który z całej mocy silił się, aby nie zważać na apostrofy profosa i w gniewie wytrwać, ani się spostrzegł, gdy i jego i całą obsługę gra-natnika jakoweś rozmazanie zdjęło. Na szczęście atoli dla powagi podporucznika, nawinął mu się przed oczy Zarzycki.

— Profos Dziurbacki — sam proszę do mnie!

Dziurbacki wyprężył się przed Prószyńskim bez mitręgi.

— Udasz się aacn natychmiast do dowódcy baterii! Imć Zarzycki cię doprowadzi!...

— Czy mam co zaraportować panu pułkowni-kowi... czy pan podporucznik...

— Dowiesz się od pułkownika! — zakonkludo-wał Prószyński.

— Uważam! — mruknął niepewnie Dziurbacki, zaczętem zakręcił się jeszcze przy tobołku, coś zeń wyjął i do patrontasza wepchnął a coś do amuni-cyjnego wózka schował i oporządziwszy nieco swój uniform, poszedł za Zarzyckim.

W drodze Dziurbackiego, który był z początku nasrożony szedł, konfuzyja zdjęła, bo przystanął ra-ptownie i ozwał się do Zarzyckiego:

— Czekajże, niechże wytchnę! Uf! nie na moje lata tyle umęczenia. Masz tu matierkę. Pociągnij sobie. Ja nie piję! Tobie młodemu nie zawadzi! He! — coś naskarżył na mnie — pułkownika nasa-dził? He!?

— Gdzie zaś, ojcie profosie!

— Myślisz! A niby skądże mnie po nocy...

Zarzycki zapowiedział Dziurbackiemu o cyga-nisie.

Profos poweselał.

— Dziw, dziw taka historia! Teraz wiem. Mar-kietiańskie dziecko... Widziałem. Wózek pod zagaj-nikiem. Kartaczami go dosięgnęło pod zagajnikiem i zesmolilo... I szkoda, bo siła dobytku się zmarno-wała, lichy co dało się uratować...

— Jakto, więc ratowaliście?...

Oczy Dziurbackiego lysnęły zezem w świetle księżycy.

— Niby ja? Cóż znowu! Mówię tylko, bratku

mosanie, — bo widziałem jak się resztki bryki ko-pciły! Z cyganów ledwie półcie usmażone ostały... Jak szukałem was, tedy przechodziłem tamtędy. Sam myślałem, — lecz czego ogień nie strawił, to maruderstwo złupiło.

— Niezawodnie, bo sam, pomnę, stary cygan przy kamizeli guzy szczerosrebrne, jak śliwy wiel-kie, nosił, a babie aż się szyja lśniła od łańcu-szków.

Dziurbacki się obruszył.

— Ot, już, gotówes skarb cały w budzie włó-czgi cygańskiego znaleźć! Śliwy! Z ołowiu albo i lepiej!

— Powiadam tylko.

— Lada czego i powiadać nie trza — warknął z pasy Dziurbacki i zaciął się tak, że gdy w o-tworze rozwalonej stodółki ozwał się doń łaskawie pułkownik, stary ledwie bąknął.

Lecz Bem nie myślał brać do serca niehumoru wiarusa.

— No, Dziurbasiu, czeka tu na ciebie nielada kłopot! Patrzcie na to biedactwo.

Profos spojrział obojętnie w stronę, kędy na po-słaniu ze słomy drżała konwulsyjnie, szmatami spo-wita postać

— Należy coś pomódz! Zająć się — wyprowadzić do miasta...

Dziurbacki podszedł do posłania, przyklęknął i jął rozpatrywać leżącą.

— I cóż myślisz?

Profos uchylić chciał rąbka koszuli, aby wi-dniejące okaleczenie zbadać, i targnął niebacznie strupem zeschłej krwi. Ciało dziewczęcia zadygo-tało. Pod ramieniem ukazała się czarna, spieczona rana.

— Nie wiadomo! Trza do żywego isć, trza opatrzyć! — Skóra i kości.

— Nie wylize się.

— Kto ją! — mruczał profos — oglądając głowę rannej — tu nie rozeznasz, co jest, a czego niema. Trza to do porządku doprowadzić.

— Uczyń, co uważasz.

— Wola pana pułkownika!

— Wydaje mi się tylko zmordowana i potlu-czona. Przed chwilą jednak o własnych szła siłach. Zajmij się tem biedactwem. Twej opiece ją pole-cam. Za dnia, trzeba będzie, to się ją do lazaretu gdzie odda — przyjdzie do siebie, to może dobrzy ludzie przygarną.

— Jak pan pułkownik rozkaże, zrobi się msa-nie akuratnie a co zresztą wola Boża. Aby mi krzynekę Zarzycki pomógł i aby mi ze służbą sfol-gowano, bo to u młodego podporucznika łatwo sta-remu o guza.

— Bajesz Dziurbasiu! Ktoby ci dobrego nie życzył. Bierzże sobie Zarzyckiego i czyń.

Profos za całą odpowiedź podsunął garście pod dziewczynę i śmignął ją sobie na ramie.

— He, jakże bo! — zdziwił się Bem.

— Akuratnie trzeba, panie pułkowniku — od-rzekł profos i skinąwszy na Zarzyckiego, skiero-wał się wprost na most omulewski, a stąd w dół i do rzeki.

Tu ułożył dziewczynę na murawie i przykazaw-szy Zarzyckiemu pilnować jej, poszedł do wózka amunicyjnego, kędy chudobę swoją krył i wybra-wszy zeń spore zawiniątko, wrócił nad rzekę. Zaczem wyprowadził Zarzyckiego, aby mu derkę i dwa wiadra od pojenia koni przyniósł z baterii, a kiedy podo-ficer spełnił polecenie, Dziurbacki wskazał mu po-bliski wzgórek i rzekł:

— Staniesz sobie acan tam i będziesz dawał baczenie, aby kto mi nie przeszkodził.

— Toć tu mogę! — bronił się Zarzycki, któ-rego okrutna ciekawość zdjęła, jak sobie stary po-czynać będzie. Profos słuchać nie chciał o ustęp-stwie.

— Tu ani mowy! Młody jesteś — obrzasku byś dostał. Nie uchodzi, mosanie, bratku. Dziecko dzieckiem a dziewczyna dziewczyną. Marsz, jak po-wiedziałem.

Zarzycki rad nie rad, zajął wyznaczone sobie stanowisko.

Profos rozejrzał się, sprawdził, czyli krzak nad-brzeżny dostatecznie chroni przed spojrzzeniami ze wzgórką i do pracy się zabrał.

Więc najpierw czapę odrzucił, zdjął z siebie po-trzeby, ściągnął mundur i zakasał rękawy po łok-cie. Dalej rozpostarł na murawie zawartość zawi-niątka. Derkę tuż obok rozłożył i ujawnił za wia-dro, naczepał wody i chlusnął nim raz i drugi na dziewczynę. I dopiero kiedy lachmany cyganiątka wskroś wodą nasiąkły, ujął za kozik i porozcinał je i płatami podejmował. Uporawszy się z nędznem odzieniem dziewczyny i precz je odrzuciwszy, za-brał się do skrupulatnego omycia skrzepów krwi rany i okaleczeń.

Chude, wiatle ciało opatrywanej, oblane trupiem światłem księżycy, drżało, dygotało, na wpół roz-chylone usta dziewczęcia wydawały zdławione jęki. Dziurbacki nie uważał, pochłonięty teraz bandażo-waniem urazów i rany.

Lecz gdy nareszcie mogłoby się zdawać, że pro-fos z najtrudniejszym się rozprawił, że zgola, niby chirurg, dokończył dzieła, — Dziurbacki ledwie na-łożył opaski dla zabezpieczenia skrwawień przed mydłem! Bo, w jednej chwili, po zasupłaniu osta-tniej przepaski, nabełtał białej piany i płóciennym wiechciem jął wycierać pacjentkę. A musiał w tem Dziurbacki dla się nielada znajdować przyjemność, bo aż sapał a dogadywał półgłosem.

— Widzisz cygański morusie! Znaj artylerę konnej gwardyi! Nie stekaj, bo cię nie krzywdzę, jeno lustru krzynekę ci dobywam! Świdruje cię w nosie — furda bratku mosanie, mydłem się nie udławisz! Siup zimnej wody! Lu — jeszcze i je-szcze mydła, aby ci błocko gojeniu nie bruździło! Uda ci się, to przynajmniej na sądzie boskim sta-

niesz pocziwie!... Patrzcie, jak to bieleje cygań-stwo! Dawaj lba! Kołtun jeden. Biłgorajki nie sy-muluj. Taak! A co — i kołtun umyka. Daj, jeszcze cię przemydlę! Do cna! Niby nieprzytomne, a jak się toto kręci. Nie bój się — riczego ci nie omknę! Nie dygocz — toć maj a nie grudzień!... Teraz lu! wody... i jeszcze!...

Dziurbacki, sprawiwszy dziewczynę, niby szczu-paka, czystą płachtą głowę jej obwinał, poniósł na derkę i omotał w nią.

Ale i tu jeszcze nie koniec był zabiegów pro-fosa, bo ukucnął na murawie i dobywszy blaszane-go puzderka, zabrał się do ponownego i skrupula-tniejszego obmycia, namaszczenia i bandażowania ran i okaleczeń. Aż kiedy i tego dokazał, krzyknął na Zarzyckiego i zawinawszy w derę dziewczynę, kazał mu ją nieść na pozycyę, między wózki amu-nicyjne. Tu ułożył ją, okrył drugą jeszcze derą, wlał jej w usta wódki i zbywszy się podoficera, przysiadł się do leżącej i kiwnąwszy się raz i drugi usnął.

Ale, po tylu trudach, nie danem było profosowi zasłużonego wczasu znaleźć, bo ledwie zamknął po-wieki, zmory nań przyszyły dokuczliwe. Bo oto, niby na jawie, nasadziło się nań czterech aż potpień-ców. Hiszpan, Niemiec, Włoch i cygan. I przysta-wali doń, szczerząc trupie czaszki a wyciągając doń skrwawione kikuty. Dziurbacki paktował, tłómaczył im, że nie przystoi, aby ctery nacye różne, bo i cygana chciał sobie ująć, na jednego szły — ale oni nic — darli się do niego!... Dziurbacki w nogi, a oni za nim. On do koszar, oni do koszar, on na odwach, oni na odwach. Kamraci stoją, woła by go ratowali, nikt się nie ruszy. A Hiszpan dyszy mu za plecami, a rechocze, a sięga go kikutem. A cy-gan wyje w głos, że wstyd — oddasz mieszek, coś go wziął. — Profos pędzi na oślep, wpadł na dro-gę ocienioną... Teraz byle skrócić w bok i już Za-piecek a na Zapiecku u kumy Olesiowej jego stan-cyjka, o której żywa dusza nie wie. I sama Ole-siowa nie wie, bo paraliżem ruszona, już trzydziesty rok leży i do stancyjki dostać się nie może! Tam schronienie, tam ratunek! Już widać kamieniczkę zapiecką, już widać się — aż tu naraz piach, piach grzązki... Nogi mu więzną. Mocuje się, mocuje, nie może pośpieszać. A Włoch teraz już, już go ma pochwyścić... Dziurbacki dopadł sieni, runął na pia-terko, dał susa do mieszkanka Olesiowej, zawarł drzwi i dalej, po drabinie do stancyjki swojej. Skrzynię żelazną usunął pod łóżko a sam w pie-rzynę. A tu z dołu idzie rumor piekielny. Napast-nicy wałą drzwi. Olesiowa nawołuje — co wy, czego wy!? A oni ryczą — kuma waszego chce-my, mieszków naszych, co nam zabrał, chcemy! — i dudnią po drabinie. Już weszli i idą doń kołem, czaszki wyszczerzone, szydercze, kikuty skrwawione wyciągają. Profos porwał za krucicę, wypalił raz — nic, kikuty coraz bliżej, bliżej... wypalił drugi raz — nic. Chwycił za pałasz, ciął — czaszki jeno mo-cniej się wyszczerzyły...

— Jesteś, jesteś! — syczą.

— Oddam, wszystko oddam! — jęczy Dziur-backi.

— Zapóźno — zapóźno! — skowyczą szydercze głosy. — I w tej samej chwili kikuty okrwawione dosięgają jego szyi.

Dziurbacki szarpnął się z całej mocy, aby ująć kikutom i obudził się.

Dniało. Profos otrząsnął się, przetarł oczy, splu-nął od uroku, sięgnął w zanadrze i namacawszy ukrytej pod mundurem kieszeni — odetchnął z ulgą.

Ciche, przeciągłe westchnienie odpowiedziało profosowi.

Dziurbacki odwrócił się i przeżegnał zabobon-nie.

Tuż przy nim, z derek artylerzyjskich, wychy-liła się ku niemu główka młodzieńczego dziewczę-cia o twarzyczce delikatnej, niby z filigranu wy-rzeźbionej, o usteczkach wpółrozwartych a drgają-cych zlekka, w takt sennego falowania misternych chrapek.

Profos jeszcze poglądał a myśli, zwichrzone wspomnieniami mary, co mu dokuczyła, porządko-wał, gdy hen, od wschodu, dźwignęta się kula ognista i purpurowem rzuciła przed się światłem.

Światło oblało twarzyczkę dziewczęcia, zarózo-wiło ją i perłami rosy zagrała w jedwabistych złoto-popielatych, jakby z kobierca zielonego mura-wy wyrosłych splotach. Konik polny, który sobie za uszkiem dziewczyny drzemał, bernął skrzydeł-kami, zadzwonił po swojemu na dzień dobry, py-szczka musnął, różki nastawił i odleciał.

Dziurbacki pokręcił głową i roześmiał się do siebie.

— Cie — farfurka dopiero! Żeby, żeby tak